



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



POMNIK JANA SOBIESKIEGO WE LWOWIE.

Pomnik Jana Sobieskiego.

Dnia 20 listopada r. b. odsłonięty został we Lwowie pomnik Jana Sobieskiego, dłuta znanego rzeźbiarza T. Baręcza. Jak widzimy z ryciny, przedstawia on króla, jako pogromcę Turków i przypomina nieco z układu znany wszystkim pomnik w Łazienkach. Rycina druga przypomina największy czyn dziejowy Sobieskiego — odsiecz wiedeńską w r. 1583, przedstawia bowiem chorągiew husarską pod murami tego miasta, przygotowującą się do słynnej szarży na namiot wielkiego wezyra Kara-Mustafy. Oto, jak Deotyma opisuje malowniczy strój i uzbrojenie husarza:

Opięty w czarny aksamit „usarski”
Naszytej łuską szmelcowaną modro,
Żółty pas brodziecem zahaczał na biodro,
Sępiemi pióry najeżał swe barki
A temi skrzydły, płomiennością oka,
I giętkim ruchem przypominał smoka,
Co swe ofiary urzeczce nim złamie.
Ze smok zaś chętnie za chmurą się chowa
Płaszcz siedmiogrodzki zarzucał na ramię,
Płaszcz biały, jak noc zimowa.

(„Sobieski pod Wiedniem” pieśń II).

ZOFIA BUKOWIECKA.

Z dziejów cywilizacyi.

(Dalszy ciąg).

Znałem starego literata i nauczyciela, który tak dalece pamiętał czemu zawdzięcza nabyte przedmioty, że pokazując mi swoje biurko, mówił:

— Oto „Dolina śmierci,” taki bowiem był tytuł powieści którą kiedyś napisał, a za honorarium kupił sobie to biurko. Szlafrok swój nazywał Azyą, gdyż nabył go za wartość popularnego wykładu o tej części świata, a frak, jedyny, jaki posiadał w życiu, nosił miano nosorożca, gdyż rozprawie o tem ciekawem zwierzęciu zawdzięczał staruszek ten strój uroczysty.

Każdy z ludzi, aby żyć, musi przez pracę wytworzyć jakiś towar, który następnie wymienia przedewszystkiem na przedmioty pierwszej potrzeby, a następnie na rzeczy dogadzające jego upodobaniu. Towarem tym są dla lekarza lub adwokata usługi przez nich oddawane potrzebującym; dla rolnika uprawa roli i zarząd nad gospodarstwem; dla malarza, rzeźbiarza, muzyka, utwór ich talentu; dla ślusarza, tkacza, szklarza i t. d. wyroby ich rzemiosła. Trzeba się więc starać o to, abyśmy mieli jaknajlepszy towar, wtedy z łatwością wymienimy go na inny i doznamy w życiu wielu chwil przyjemnych. Przeciwnie próżniak, który nie chce uczyć się i nabyć umiejętności w jakim zawodzie lub rzemiośle, okrada sam siebie, pozbawiając się możliwości wyrobienia jakiego towaru, to jest wzbogacenia się; czeka go w przyszłości bieda, a może nędza.

Ale ludzie każde udoskonalenie zdobywać muszą szeregami prób i doświadczeń. Długo też trwał na świecie i handel zamienny w pierwotnej swej formie. Zamieniano bezpośrednio przedmiot za przedmiot, a widzieliście z historii naszych wiespiarzy, jak niedogodną jest taka zamiana. Trzeba bowiem aby pan N., który ma mąkę a potrzebuje książki, odnalazł komecznie kogoś takiego, co posiadając żądaną książkę,

potrzebowałby mąki. Trudność podobnych transakcyi, to jest wymian, naprowadziła ludzi już w odległej starożytności na myśl użycia towaru trzeciego, a że to była myśl szczęśliwa, o tem przekonały was, sędze, muszelki doktora.

— Znajdźmy towar, który byłby miernikiem wartości innych towarów — powiedzieli sobie praszczurowie nasi i dalej probować handlu w tej nowej formie. Ale jaki przedmiot wybrać za ogólnego pośrednika?

Po długich naradach zgodzono się nareszcie, że bydło jest każdemu potrzebne, zgodzono się tem łatwiej, że ludy ówczesne przeważnie żyły z pasterstwa, każdy więc chętnie wymieniał swe bogactwa na sztukę bydła i łatwo znów mógł się w razie potrzeby pozbyć zwierzęcia.

Józio i Michaś uśmiechają się, słysząc o takim dziwnym handlu. Istotnie nie mało on też nastęrczał trudności. Homer, poeta grecki, pisze, że zbroja rycerza Diomeda, króla Tracyi, kosztowała sto wołów. Całe stado żywych pieniędzy!

Układ o tak drogocenny przedmiot łatwiej było zawrzeć, ale jak ocenić wartość drobnych sprzętów? Za kołczan do strzał należało zapłacić dziesiątą część wołu. Biedny wół-pieniądz, który aby być zmienionym na drobną monetę, musiał się dać poświęcić. A nawet wyplacony w całości ileż kłopotu przysparzał właścicielowi. Diomed naprzekład, był rycerzem wielkiej sławy; on to zamknięty w brzuchu drewnianego konia, wjechał podstępnie wraz z 9 towarzyszami w mury Troi i zdobył to miasto na wieczną Greków chwałę. Wyobrażcie sobie więc kłopot Diomeda, gdy za sprzedaną zbroję oddano mu stu ryczących wołów. Gdyby wartość towaru wyplacono w złocie, jak płacą dziś wszyscy, byłby Diomed schował dukaty do trzosa i opasawszy się nim pojechał szukać nowych wojennych przygód, bo tak postępowali ówczesni bohaterzy. Ale co zrobić ze stu głodnymi wołami?

Homer nie wspomina jak sobie poradził Diomed, słusznie jednak przypuścić możemy, że miał dużo kłopotu z żywymi pieniędzmi, które przedewszystkiem same dopominały się żywności.

Przekonano się więc, że przedmiot trzeci, pośredniczący w zamianie towarów, nie powinien być żywym. Musiało jednak bydło służyć długo za miernik wartości, skoro w wielu językach indo europejskich, ten sam wyraz oznacza pieniądz, co bydło.

Michaś, który ma piątki z łaciny, wie niezawodnie, że wyraz *pecunia* (pieniądze) pochodzi od *pecus* (bydło). Na bardzo starych monetach spotykamy często wizerunek wołu, jako stempel oznaczający wartość pieniądza.

— Żywy wół, jako pieniądz zbyt jest kłopotliwym, spróbujmy użyć w tym celu jego skóry — tak uradzili z kolei ludzie, i odtąd skóry zwierząt służyły przy wymianie. Dziś jeszcze ludy dzikie, trudniące się myśliwstwem, skór używają zamiast pieniędzy.

— Może to dobry sposób — mówi Janek, ale Michaś uśmiecha się złośliwie i pyta:

— Dobry? Powiedz mi więc jak rozumiesz pieniądz skórny?

A Janek na to:

— Wielka rzecz, pokraja skórę na drobne kawałki, przecież nie żywa, nie zdechnie, więc nie straci na wartości.

— Nie straci na wartości, powiadasz? Otóż bardzo się mylisz spytaj twego ojca czy pozwoli pokrajać skórę białego niedźwiedzia, która leży przy jego biurku. Wiem, że kosztowała ta skóra 200 rub. czyż nie straciłaby na wartości, gdyby porznął ją na drobne paski?

Janek zamilkł, czuł, że kolega ma rację. Słuszność takiego zdania uznali i praojcowie nasi, przekonali się bowiem, że towar-pieniądz powinien się łatwo dzielić i nie na tem nie tracić. Robiono więc próby z produktami roślinnymi. Jakie one były, przekonać się o tem możemy, bo u ludów Azji i Afryki dziś jeszcze w handlu zamiennym, jako pieniądza używają owoców, np. daktyli, ryżu, a także herbaty lub tytoniu.



Floryan Łagowski.

W roku bieżącym minęło 25 lat trudnej lecz wdzięcznej pracy na polu kształcenia młodzieży, przełożonego szkoły realnej prywatnej w Warszawie.

Floryan Łagowski, urodzony w Proszowskiem 4 maja 1843 r., kształcił się w b. Szkole Głównej, a następnie w Uniwersytecie warszawskim.

Poświęciwszy się zawodowi pedagogicznemu, jako profesor historii literatury i języka polskiego, oraz przełożony szkoły z zamiłowaniem oddał się swemu zawodowi, zyskując ogólną wdzięczność i szacunek.

Działalność pedagogiczna nie przeszkadza jednak jubilatowi pracować piórem. Napisał kilka cennych prac, między innymi życiorysy: Stanisława Jachowicza, Bohomolca, dzieje szkoły Collegium Nobilium, założonej przed stu dwudziestu laty, przez Konarskiego, „Początki gramatyki polskiej” i t. d. Był też przez kilka lat redaktorem „Przeglądu Pedagogicznego.”

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

XII.

Nowe zdumiewające odkrycie.

Po stanie gorączkowego podniecenia, w jaki wprawilo podróżnych osiągnięcie bieguna, celu tylu wypraw, pragnień i marzeń, poczuli oni potrzebę wypoczynku nocnego, jeśli

można mówić o nocy w tym punkcie kuli ziemskiej, gdzie począwszy od 21 marca, słońce przez sześć miesięcy nie schodzi z horyzontu, póki z kolei nie zniknie zupełnie na drugie sześć miesięcy zimowych! Pokrzepiwszy więc snem siły swoje w godzinach, gdy słońce było najniżej, profesor i jego towarzysze zerwali się wcześniej dnia następnego, płonąc ciekawością jaknajprędzszego poznania tych nieznanych nikomu okolic.

Zjadłszy śniadanie, zastawione przez obojętnego jak zwykle na wszystko Jerzego, zaczęli czynić przygotowania do wyprawy, którą należało przedsiębrać z należytą rozwagą i ostrożnością, bo lubo chodziło tylko o niedaleką kilkomiłową wycieczkę w głąb kraju, ład ten i klimat jego przedstawiały tak gwałtowne i niespodziewane przemiany, że nie można było nawet odgadnąć, jakiego gatunku zwierzęta kryć się mogą w lasach widzianych w pobliżu. Należało więc zabezpieczyć się na wszelki wypadek.

Najpierw rozstrzygnięto kwestyę ubrania; termometr wskazywał 3° ciepła Reaumura, powietrze jednak wydawało się podróżnym bardzo łagodnym, po doświadczeniom zimnie w strefie lodowej. Włożyli zatem na siebie średniej grubości ubranie kortowe i sięgające do kolan buty z nieprzemakalnej skóry; wybrali broń dającą dziesięć strzałów z rzędu, dostateczną ilość naboju, a nie wiedząc jak długo potrwa wycieczka, wzięto też potrosze z zapasów do jedzenia. Tak zaopatrzeni, wsiedli do małej łodzi i niebawem znaleźli się na wybrzeżu.

Z uczuciem zaciekawienia, połączonem z rodzajem obawy, stawiali pierwsze kroki po tym nieznanym nikomu lądzie.

— Patrzcie — odezwał się baronet, wskazując na grunt pod nogami — to pierwsze ślady stóp ludzkich, odcisniętych na tej dziewiczej dotąd ziemi — i rzekłszy to rozwinął małą chorągiewkę trzymaną w rękę, o barwach narodowych angielskich, koniec jej zasadził w piasek i zawołał uroczystym głosem:

— W imię najjaśniejszej pani, Wiktoryi, królowej Wielkiej Brytanii i Irlandyi, biorę tę ziemię w posiadanie i przyłączam ją do korony angielskiej.

Po tych słowach trzej Anglicy wzniesli okrzyk na cześć królowej swojej; następnie pułkownik zaproponował aby nowoodkrytą ziemię nazwać „ziemią Elflinstora,” na co wszyscy z ochotą przystali, z wyjątkiem baroneta, który przez skromność wymawiał się od zaszczytu nadania nazwiska swego odkrytej przez nich krainie.

Czy istotnie jednak ziemia ta była dotąd nieznaną ludziom? Czy rzeczywiście teraz dopiero stopa człowieka pierwsze ślady wycisnęła na niej? Podróżni nasi mieli niebawem pod tym względem otrzymać odpowiedź przeczącą, zaledwie bowiem przeszli kilkanaście metrów od wybrzeża, spostrzegli ułamek starej włóczni, z długim na 16 cali drzewcem. Odkrycie to sprawiło powien zawód dla Anglików, gdyż świadczyło, że dawnymi czasy znalazł się człowiek, może nawet liczniejsza gromada ludzi, którzy, nie rozporządzając, jak żeglarze „Latającej Ryby” niezwykle śródkami podróżowania, dokonali jednak trudnego zadania i przetrznawszy się przez pas lodowców, dotarli do samego bieguna północnego. Kto byli ci ludzie? Z jakiego pochodzili kraju? Dla czego wiadomość o ich wyprawie poszła w zapomnienie? Te pytania nasuwały się kolejno baronetowi i jego towarzyszym.

— Sądzę, że ich pochodzenie nie może być dla nas wątpliwem — zauważył profesor. — To ci sami Wikingi, których wódz nakreślił znaną przez nas mapę i których zwłoki znaleźliśmy pod lodem w zatopionym statku. Owa wyspa zaznaczona na mapie jest prawdopodobnie tym samym lądem, po którym kroczyliśmy obecnie. Należy przypuszczać, że Wikingi zostali zaskoczeni w powrotnej drodze przez wielkie mrozy, nie mogli posunąć się na południe ani cofnąć na otwarte morze polarne, padli ofiarą śmierci w pasie lodowców, gdzieśmy ich znaleźli po kilku wiekach.

— Trudno jednak zrozumieć — zagadnął baronet — dla czego, mogąc raz jeden przetrznąć się przez lody, nie uczynili tego po raz drugi.

— Może powrót ich wypadł w późniejszej porze — tłumaczył profesor. — Nadto zdaniem mojem obszary lodowe w tej strefie nie zawsze jednakową obejmują przestrzeń; dwie lub trzy następujące po sobie łagodne zimy w połączeniu z wyjątkowo gorącym latem, mogą roztopić większą ilość brył lodowych i rozszerzyć granicę wolnego polarnego morza. Przypuszczenia moje potwierdzają sprawozdania podróżników jak: Scoresby, Penny, Kane i t. d. Ale co widzę tam w dal? Czyż mógłby to być ślad mieszkań ludzkich?

Były to istotnie szczątki drewnianej chaty, dwadzieścia pięć stóp długiej i szesnaście szerokiej; dach jej musiał zapaść się oddawna, gdyż ściany mech pokrywał, a wysoka jodła rosnąca pośrodku, świadczyła o długoletnim opuszczeniu tej siedziby.

Podróżnicy szczegółowo obejrawszy resztki starożytnej budowy, wzniesionej prawdopodobnie tą samą ręką, która władała porzuconą włócznią, udali się następnie w głąb sosnowego lasu, gdzie mieli nadzieję spotkać zwierzynę.

Rzeczywiście, zaledwie uszli pół mili, lis polarny pomknął szybko przez zarośla, dalej ujrzeni stado pasących się danieli, a lubo widok ich pobudził żyłkę myśliwską pułkownika i baroneta, lecz powstrzymali się od chęci strzelania i zostawili w spokoju łagodne zwierzęta. Za to spotkanie w dalszym pochodzie brunatnego niedźwiedzia sir Reginald zgładził ze świata, a wilk, błakający się samotnie, padł ofiarą celnej broni pułkownika. Wyszedłszy z lasu podróżni znaleźli się w malowniczej miejscowości, umajonej łąkami.

Tam spostrzegli pasące się na trawie niewielkie stado wołów piżmowych i podczas gdy radzili nad tem, czy warto którego z nich trupem położyć, Mildmay, mając oczy w inną stronę zwrócone, zawołał ze zdumieniem:

— Spójrzcie, co za potworne zwierzęta kroczą tam zwolna w dolinie? Wszakże nie mogą to być słonie!

— Jakie niedorzeczne przypuszczenie! — oburzył się baronet, zwracając lunetę we wskazanym kierunku. — Ależ słowo daję — dorzucił po chwili z największym zdziwieniem — te zwierzęta naprawdę podobne są do niezwykle dużych słoni, tylko, że porośnięte gęstym, długim, czarnym włosem. Na honor, nie widziałem podobnych w życiu.

— Slonie porośnięte włosami! — powtórzył z zaciekawieniem profesor — prędko, dajcie mi szkła, zapomniałem zabrać lunety! Gdzie są te osobliwe zwierzęta? A, widzę je! oh! czy podobna! Wiercie mi, jakem profesor, to jest człowiek oddany nauce, zapewniam was, że te dzikie niby słonie są ni mniej ni więcej, tylko żywymi mamutami. Możemy sobie powinszować takiego spotkania! Pomyślcie tylko, co za szczęście! patrzeć na najwspanialsze okazy zaginionego gatunku!

Profesor tak był podniecony niespodziewanem zjawiskiem, że towarzysze jego, pragnący z kolei przypatrzeć się osobliwym zwierzętom, nie mogli z drżących ze wzruszenia rąk Karlińskiego odebrać lunety; wreszcie oddał ją porucznikowi, a zwracając się do nich wszystkich, mówił z naleganiami:

— Nie traćmy ani chwili czasu; druga podobna sposobność może nie nadarzyć się więcej. Musimy zdobyć choć jedną sztukę. Będzie to dostateczną nagrodą za kosztą i trudy naszej wyprawy.



Rozwścieczone zwierzę pognąło za nim... (str 389).

Zapał profesora udzielał się towarzyszom jego; baronet w porozumieniu z pułkownikiem układali plan kampanii; on z profesorem z jednej strony a Lethbridge z Mildmay'em z drugiej mieli zająć drogę mamutom i zapędzić je ku przystani, gdzie „Latająca Ryba” spoczywała na kotwicy.

W tym celu wypadło obejść dokoła znaczną przestrzeń i dopiero po 1½ godziny myśliwi znaleźli się w miejscu, skąd mogli urządzić „naganke”. Rozstawili się w półkole, a na znak dany przez baroneta, wszyscy czterej z krzykiem biedz zaczęli ku zwierzętom.

Mamuty, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, pały się spokojnie na łące, posłyszawszy dopiero hałas, z podniesioną trąbą węszyć zaczęły wroga i stanęły w szeregu. Myśliwi postępowali śmiało naprzód w przekonaniu, że zwierzęta ulękną się ich widoku, ale wbrew temu oczekiwaniu mamuty z groźnym rykiem rzuciły się na nieprzyjaciół.

Stado składało się z dziesięciu sztuk; cztery z nich stanęło frontem do napaśników, jakby zasłaniając sobą towarzyszy.

Była to niebezpieczna chwila dla myśliwych, którzy po raz pierwszy w życiu mieli do czynienia z tego rodzaju zwierzyną i nie wiedzieli jak z nią obchodzić się wypada. Sam widok

potworów piętnaście stóp wysokich, pokrytych gęstym brunatnym włosiem, z olbrzymimi kłami w górę zagiętymi, z małymi oczami palającymi gniewem, najśmielsze serce mógł natchnąć obawą, ale ani baronet, ani pułkownik nie znali co bojaźń, gdy mieli broń w rękę; Mildmay jako prawdziwy marynarz nie tracił zimnej krwi wobec niebezpieczeństwa, a profesor byłby chętnie naraził się sto razy na utratę życia, byle rzadkim w historii naturalnej okazem z bogacić naukę.

Myśliwi wycelowali jednocześnie; baronet i pułkownik więcej doświadczeni w tym względzie, strzelali zwierzętom do oczu a kule ich dosięgnąwszy mózgu, powaliły od razu oba mamuty; profesor równie szybko sprzątnął przeciwnika, kierując broń swoją w otwartą paszczę zwierzęcia, który trąbać go już zamierzał. Nie sprzyjało jednak szczęście Mildmay'owi; sądząc, że strzał równie skuteczny będzie, wycelował on w piersi mamuta. Kula, nie mogła przebić grubej skóry zwierzęcia,



HUSARZE POD WIEDNIEM.

a silnem uderzeniem rozbudziła wściekłość jego. Wtem krytycznem położeniu był czas jeszcze drugi cios wymierzyć, ale zamiast tego Mildmay, tracąc przytomność, rzucił broń i próbował ratować się ucieczką. Rozwścieczone zwierzę pognęło za nim i uderzało trąbą.

Podrzucany jak piłka w powietrzu, porucznik zalany krwią, padł na ziemię bez zmysłów. Mściwy mamut nie poprze-

stając na tem, gotował się już tratować go nogami, kiedy celna kula pułkownika dosięgła zwierzę, kładąc je trupem na miejscu. Reszta stada snąc przerażona widokiem zabitych towarzyszy, z gniewnym rykiem uciekać zaczęła.

(d. c. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Oto chciałbym pójść tam, do tych ludzi — rzekł brat Angelo, wskazując w stronę obozowisk pogańskich.

— A jeżeli cię zamordują? — rzekł O. Augustyn z trwogą.

— To zgine za wiarę! zawołał z zapalem młody zakonnik. I dodał z uśmiechem, patrząc w oczy starcowi:

— Mielizbyście mi zazdrościć, ojcze, tego zaszczytu?

— Nie, nie zazdrozczę ci, zawołał ojciec Augustyn z nagłem postanowieniem, ale pójde z tobą!

— Wy, ojcze? — zawołał brat Angelo.

— Tak, ja; nie opuszczę cię, jak nie opuściłem pierwszej, gdyśmy tu się wybierali. Czyżbym ja, stary sługa boży miał się obawiać śmierci? Pójdzmy!

I obaj zakonnicy spuścili się z góry ku obozowiskom pogańskim, niedostrzeżeni w cieniach zapadającego wieczoru.

Tej nocy znów starszyczna pogańska zgromadziła się na uroczysku, w kole obradnem; tylko Masława i knezia Mszczuja nie było; natomiast brat jego, kneź Odylon znajdował się tym razem wśród zebrania. Obrady toczyły się bardzo leniwie, jak zwykle, gdy nie było Masława, który swą potężną wolą ożywił wszystkich i zmuszał do działania.

Po niejakiś czasie jeden ze starszycznych ozwał się nagle:

— Widzę gromadę ludzi zbliżającą się tutaj; pewno coś niezwykłego zająć musiało.

Niebawem rzeczywiście ukazało się kilkunastu ludzi, prowadzących między sobą, jako jeńców, dwóch księży czarno ubranych.

Radosne i dzikie okrzyki rozległy się wśród zgromadzenia:

— A, pojmałście ich, tych czarnych kruków? Dawajcie ich tu! Zajrzymy w oczy tym czarownikom przeklętym, a potem strącimy ich ze skały, niechaj idą do biesa!

Jeden z nowoprzybyłych, stanąwszy przed starszyczną, pokłonił się i rzekł:

— Aby rzec szczerą prawdę, nie pojmałśmy ich, ino się sami oddali w nasze ręce. Ten młody powiedział, że chce mówić z naszymi ludźmi. Ano, wzięliśmy ich i przywiedli tutaj, niech gadają, kiedy tacy mądry.

Śmiech powstał wśród zgromadzonego ludu.

— Niech gadają, niech gadają! wołano zewsząd. Obaczmy co zaśpiewają przed śmiercią. Ano, ty stary kuku, wyjdź pierwszy i powiedz nam co pięknego. Starszemu godzi się dać pierwszeństwo; pierwszy będziesz gadał i pierwszy pójdziesz pod uóz!

O. Augustyn nie rozumiał dobrze owych pogroźek, lecz z dzikich ruchów pogan domyślał się ich zamiarów. Mileczał więc i modlił się pocichu.

Brat Angelo wystąpił naprzód:

— Bracia mili — rzekł swobodnym i spokojnym głosem, poco macie się plamić krwią naszą? My się śmierci nie boimy poznaliśmy z tego żeśmy się sami oddali w wasze ręce, ale sobie zrobicie tam więcej złego, niż nam. Naprzód popełnicie bezpotrzebną zbrodnię a krew spada zawsze na głowę tego, kto ją przelał, potem zaś nie przeszkodzicie wcale budowie klasztoru, bo tam w Kielcach pozostało jeszcze dziecięciu takich jak nas tu widzicie, którzy narażają się na śmierć z największą rozkoszą, aby tylko święte dzieło przywieść do skutku. A jeżeli zginiemy wszyscy, to król dopełni tego, bo Bóg nie dopuści, by tak wielkie przedsięwzięcie upadło. Ci

k którzy was namawiają do oporu i buntu, myślą tylko o sobie nie dbając o to, że was wydadzą na pastwę gniewu króla, jeśli wam się nie powiedzie, a mogą was zapewnić, że się nie powiedzie. Żal mi was, biedni, ciemi ludzie i dla tego przyszedłem, by wam powiedzieć słowa prawdy i pokoju.

Lecz starszyczna bojąc się, by mowa młodego księdza nie zrobiła wrażenia na tłumach, zawołała jednogłośnie:

— Nie potrzebujemy, takich mądrych nauczycieli! Nie rozczulaj się nad nami a raczej nad sobą, bo ostatnia twoja godzina wkrótce nadejdzie.

— O nie — odrzekł brat Angelo — zawsze żałować was będę nieszczęśliwi, bo Pan mój, Odkupiciel, czyż nie wyrzekł na Golgocie: „Córki jerozolimskie nie płaczcie nademną, a raczej nad sobą i synami waszemi!”

— Milcz! jeśli ci życie miłe, wrzaśnięto dokoła. Nawet kneź Odylon zwykle milczący, teraz mówił półgłosem:

— Czarni księża, chcieliby i nas na niemiecką wiarę nakłonić. Nic z tego nie będzie!

Nagle, wśród zgromadzenia ukazał się człowiek na koniu spienionym i zdyszonym. Zeskoczył szybko, a zbliżywszy się do starców, siedzących na kamieniach, każdemu szepnął coś zcicha. Ruch powstał wśród obecnych i jak ptaszki małe, gdy jastrząb się ukaże, trwożnie świegocą i zbijają się w gromadę, tak w całym zgromadzeniu powstał szmer nagły, szepłali coś między sobą potrwożeni i niespokojni.

— Gdzie Masław, gdzie Masław? ozwało się kilka głosów. Sam nas w to wprowadził, a teraz się kryje!

— Masław w gródku knezia Mszczuja, ozwał się ktoś.

— Nie w Kielcach!

— Posłać po niego gońca! Niech radzi co czynić!

— Co się stało Mściwoju? zapytał jeden z obecnych.

— Powiadają, że Bolesław powraca — odparł trwożnie zapytany.

— Bolesław powraca! — powtórzył tamten w najwyższym przerażeniu. Już po nas!

— Jak sobie chcecie — ozwał się drugi — ja od wszystkiego ręce umygam. Dość już nas Masław nazwoził obietnicami, które do niczego nie doprowadziły.

— Ja także wracam do domu, dodał trzeci. Niech Masław sobie sam radzi...

— Tchórze — wołali inni, odważniejsi, cóż to, na jedną pogłoskę, o powrocie króla, rozbiegacie się, jak ptaństwo pierzchliwe kiedy sokół bije z góry!

— Ano, wszyscy znamy dobrze dziób i szpony tego sokoła!

— Gdzie Masław, gdzie Masław? powtarzali tymczasem inni.

— Oto jestem, czego chcecie ode mnie? — ozwał się głos Masława, który niespodzianie stanął w kole obradnem.

Zjawienie się jego było tak nagłe, wyraz twarzy tak nakazujący, że najbliżsi cofali się.

— Czego chcecie ode mnie? spytał poraz drugi.

— Masławie, czy wiesz, że Bolesław powraca? ozwał się jeden ze starszycznych.

Więc cóż stąd? — wyrzekł z pozornym chłodem Masław.

Czyście go już widzieli tu blisko? Czy odnalazł już nasze schronienie? Czy nie stało nam broni przy boku?

Wszak jeszcze puszcza, zarośla, bagna, wąwozy, wszystko nasze; w żelazo zakuci wojacy Bolesława nie pójda nas tam szukać, a jeśli pójda to bies będzie chyba miał z nich pociechę, nie on!

Kto więc zachował męstwo w sercu i nie stał się jeszcze drżącą niewiastą, zającem tchórzliwym, co własnego cienia się lęka, komu stara wiara miła, kto nie zapomniał zrąbanych drzew świętych, zaspanych źródeł, chramów zburzonych, ten pozostanie przy mnie; inni niech idą lizać stopy Bolesława, niech mu oddadzą głowy swoje, albo uchoďdą w puszcę, zostawiając mu na pastwę domy własne, żony i dzieci, niech idą, nie zatrzymując ich; tchórzów nie potrzebując; niech ich sobie bierze topór królewski.

Tłum mileczał przez cały czas przemowy Masława; głu-

cha cisza trwała gdy skończył mówić; nikt nie śmiał, czy nie chciał, się odezwać.

Mineły już te czasy kiedy słowo Masława było wszechwładnem; nie oburzali się ale milczeli a Masław wiedział, że to najgorszy znak. Rozdrażniając namiętności tłum, narażał się, że mógł sam być przez niego rozszarpanym, ale również mógł wywołać iskrę zapалу i uniesienia; lecz ta głucha cisza, ten spokój lodowaty zwiastowały zniechęcenie i upadek ducha. Nie było żadnej nadziei. Masław czuł to i jak zwierzę ranny wzrokiem szukał dokoła siebie, na kogo by się rzucić.

Oko jego padło przypadkiem na brata Angelo.

Młody zakonnik stał wciąż przy ognisku, nieustraszony i spokojny. Krwawy, rozwiścieczony wzrok Masława spotkał się nagle z jego łagodnym spojrzeniem, a spojrzenie to miało w sobie tyle cnoty, że nawet straszny Masław czuł się na chwilę zachwianym. Przeżuł w nim siłę odporną tę siłę, z którą dotąd walczył daremnie. —

Lecz po chwili jeszcze większa wściekłość zakipiała w jego sercu; wszystkie namiętności, obudzone przez czarne-go ducha, podniosły głowy, aby walczyć z przeciwną im władzą i straszny się stał wtedy. Rzucił się z zaciśniętymi pięściami naprzód; zdawało się, że w jednej chwili zabije młodego zakonnika.

Ten stał, nie ruszając się z miejsca; światło ogniska padało nań i oświecało całą jego postać i oblicze od którego zdawał się bić blask jutrzeńki. Wzrok knezia Odyłona padł na niego w tej chwili i już się odeń nie odrywał, jakby przykuty. Na jego obliczu obok bolesnego wyrazu, widniało łagodniejsze jakieś uczucie, potrząsnął wreszcie głową, jakby odpędzał oblegające go wspomnienia.

Masław tymczasem biegł na brata Angelo, wściekły, rozszał się.

— To on, to on! — wołał, z włosami najeżonym, podczas gdy piana okryła mu usta, a pot wystąpił na czoło. To on mać mi wszystko, a jednak nie mogę pokonać mocy jego, nie mogę... Czarowniku przeklęty, ktoś ty jest? Nie odpowiadasz. A więc giń!

— Zabij więc to co możesz zabić! — rzekł brat Angelo spokojnie, skrzyżowawszy ręce na piersiach i podnosząc głowę, gdy tymczasem ojciec Augu-tyń przerażony, powtarzał drżącym głosem; robiąc znak krzyża w powietrzu:

— Retro satana, retro satana!

Masław podniósł już miecz jak do cięcia, nagle jakaś ręka wstrzymała jego ramię wzniesione.

— Stój! — wyrzekł mu nad uchem głos knezia Odyłona. Nie zabijesz go!

Masław obrócił się, gotów wyrzucić całą wściekłość na tym, który go wstrzymywał; lecz stary kneź spokojnie położył mu rękę na ramieniu, powtarzając:

— Nie zabijesz tego księdza.

Któż mi zabroni? zawołał gwałtownie Masław.

— Ja — odparł kneź poważnie i stanowczo.

Zdawało się, iż otrząsnął zupełnie z siebie swe dawniejsze usposobienie; mówił przytomnie, z powagą i godnością, przystojną jego wiekowi i wysokiemu rodowi. Nawet na Masława na chwilę podziałała ta powaga starca, ale na chwilę tylko.

Rzucił się w jego stronę ze wzniesionym mieczem, wściekły i straszny, wołając:

Ach, wy knezie rozbójniki, czy wy mi wiecznie będziecie wydierać z rąk zdobyczą? wiecznie mi stawać będziecie na drodze? Ale ja was zmiotę z mej drogi! Jak postanowiłem tak zrobię, czarni księża muszą zginąć, a ty mi nie zachódź w drogę stary kneziu medoleźny, bo...

— A więc — rzekł kneź Odyłon, stając i swą wysoką postacią zasłaniając brata Angelo, niechaj miecz twój wprzód zboczy krwią moje siwe włosy, ale tych księży nie dam tknąć!

W tejsze chwili dał się słyszeć tentet pomiędzy drzewami; to poczt knezia Mszczuja, towarzyszący jego bratu przybywał na miejsce obrad, bo stojąc w pobliskim la-

sku, ujrzał, że coś się tu dzieje niezwykłego i przychodził w sam czas na pomoc Odyłonowi. Ten skinął ręką, orszak przybliżył się,

— Do gródka knezia Mszczuja! rozkazał kneź Odyłon. W mgnieniu oka podano mu konia, jak również obu zakonnikom, mały poczt oddalił się i znikł wkrótce w nocnych ciemniach.

Masław pozostał z dobytym mieczem, w pośrodku koła obradnego; dzika wściekłość pałała w jego oku. Tymczasem lud rozchodził się powoli i uroczyisko opustoszało zupełnie tylko starcy pozostali, siedząc na swych kamieniach.

Masław, obejrawszy się dokoła siebie rzucił się nagle z przekleństwem na ustach, wskoczył na konia i oddalił się pędem.

Noc ciemna zapadła nad uroczyiskiem, ogień wygasł a przy bladym świetle miesięcznym widać było tylko postacie kilku starców siwobrodych, którzy do ostatniej chwili nie chcieli opuścić swego stanowiska pragnąc zginąć, jako ostatni obrońcy bogów, których już wszyscy młodszy odstąpili.

XIX

Wieść o powrocie Bolesława rozchodziła się nie wiadomo jakimi drogami, przenikała wszędzie, w najdalsze zakątki kraju. Buntownicy słyszeli ją w każdym głosie natury, każde tchnienie wiatru zdawało się nieść okrzyk: „On powraca!” „Powraca!” szumiały jodły poważnie; powraca! powtarzały dęby w czasie letnich wieczorów, powraca, a z nim chmura wojowników, zbrojnych w miecze ze stali! Powraca zwycięski i straszny, a serca winowajców drżały, słuchając tego szeptu puszczy i wielka trwoga padła na nich.

Tak, gdy ryk lwa powtórzą echa pustyni, drży na odgłos ten człowiek, a zwierzę wszelki kryje się w zarośla, choć lew jeszcze daleko.

Tłumy, oblegające Łysą górę, coraz topniały; w chwili gdy dno znać przed wieczorem, że Dobrogost się zbliża z hucem zbrojnym na pomoc obleżonym, ani jednego z pogan nie było, ostatki bowiem rozproszyły się po puszczy na samą wieść o jego pochodzie.

Dobrogost usłyszał z ust Sławka o postępkach obu zakonników, lecz o losie ich dalszym niczego nie mógł się dowiedzieć. Obleżeni widzieli tylko z góry jak orszak zbrojny wprowadził ich z sobą i szczególnie żalowali brata Angelo, który potrafił obudzić dla siebie powszechnie przywiązanie.

— Zła sprawa, uruknął Dobrogost, szarpiąc brodę w zamysleniu. Król będzie guiewny, wiem o tem dobrze. Ale bies chyba poradziłby z tymi poganami.

Jego opóźnienie pochodziło ztąd, że wczoraj napotkał w puszczy zbrojny poczt knezia Mszczuja, z którym musiał stoczyć ciężką walkę; walka ta zakończyła się porażką ludzi knezia, chociaż Dobrogost utracił też niemało swoich. Natychmiast po przybyciu, nakazał przetrząść całą górę, wszystkie załomy skał i zarośla. Gdy przybyli na uroczyisko, zarzucone olbrzymimi głazami, natrafili na wielkie koło, ustawione z kamieni, na których siedziało nieruchomie kilku siwych starców.

Słońce zachodziło czerwono; od wschodu zrywał się wiatr burzliwy i pędził przed sobą gromadę chmur sinych, poszarpanych, o krwawych rąbkach; leciały one kędyś w dół, pozostawiając po drodze strzępki swej purpury. Wierchołki skał okolicznych okryły płomiennie odbłaski, podczas gdy krajobraz, rozciągający się u stóp góry, przydział się w płaszcz z mgły błękitnej.

Starcy siedzieli w kole głosów, milczący i poważni; a choć nie byli królami, ani kneziami, bił od nich taki majestat, że ludzie Dobrogosta cofnęli się mimowoli, przejęci trwogą i uszanowaniem. Jeden tylko z nich wyrwał się naprzód, wołając:

— Ojczy, wy tutaj? Był to Przemko.

Zbliżył się do ojca, mówiąc z naleganiem.

— No, ojcze, chodźcie; po co wam tu zostawać; król powraca; narobicie i sobie i mnie biedy. Wracajcie lepiej do naszego gródka!

— Nie, synu — odparł stary Zabój drżącym głosem, pozwól mi tu zginąć wraz z tem co miłowałem i czciłem. Jam już stary, niewiele mi się i tak należy; pozwól mi tu zginąć!

I czepiał się otaczających głazów rękami, drżącemi od starości, powtarzając: Pozwól, ach pozwól mi tu zginąć!

— Co to wam ojcze — rzekł Przemko — starając się odciągnąć starca, chcecie umrzeć, toć przecie możecie to zrobić po ludzku i po bożemu, w domu, wśród rodziny i bliskich, a nie tu w skałach, jak ów zwierz dziki. Trzeba przecież ojcze, byćcie się przed śmiercią wyrzekli tych pogańskich błędów; weźmiemy księdza, by odpędzić szatana, który was gnębi i nocami po puszczy wodzi.

— Nie! — zawołał stary Zabój — chcę umrzeć w wie-
rze, w jakiej żyli moi ojcowie!

— Ale przecież tej wiary niema już; jeszcze król Mieszko kazał potłuc bałwany; gdzież więc są ci bogowie? Nie-
ma ich i nie było, ta wiara była nieprawdziwą.

(d. c. n.)

O POPRAWNEM MÓWIENIU.

I.

Dobrze jest znać rzeczy cudze, ale swoje wiedzieć należy, powiedział niegdyś mędrzec. Dobrze jest rozumieć, a nawet mówić obcemi językami, gdyż w każdym z nich istnieje mnóstwo książek, z których można zaczerpnąć sporo przyjemności oraz nauczyć się wielu rzeczy, oprócz tego, zdarzyć się może potrzeba rozmówienia się z cudzoziemcem, który zna swój tylko język, albo też wypadnie potrzeba podróżować po obcych krajach, co dla nieznających języka miejscowego jest wielce uciążliwe. Najpewniejsze jednak i najusilniejsze starania winniśmy językowi własnemu, jako mowie ojczyściej, a według lepszego jeszcze wyrażenia, macierzystej gdyż pierwszych słów i samej sztuki mówienia każdy z nas uczy się od matki.

Malutkie dzieciątko mówić nie umie; dopiero słysząc mowę osób otaczających, a głównie matki, oraz powoli spostrzegając, do jakich rzeczy odnoszą się rozmaite wyrazy i co oznaczają, próbuje samo mówić przez naśladowanie, a że mówić można jedynie ze zrozumieniem, co chcemy wypowiedzieć myśleć zaś bez słów nie można, więc ucząc się i zaczynając mówić, dziecko zarazem uczy się i zaczyna myśleć i rozumieć, rozwija coraz bardziej tę zdolność i tym sposobem niepostrzeżenie i stopniowo nabywa pierwszych nasion wiedzy czyli nauki, które w późniejszych latach rozwijają się w piękne kwiaty i owoce. Stąd widać, jak ważny jest język macierzysty, gdyż on tylko jest, on tylko może być podstawą

myślenia, rozumu i nauki. Z jakąż więc pilnością starannością powinniśmy usiłować, aby mówić po polsku dobrze, to jest nietylko porządnie i do rzeczy, w każdym razie odpowiednio i stosownie do przedmiotu, o którym mówimy — to się nazywa mówić *rozsądnie* lub *rozumnie* — ale nadto mówić tak, jak mówią ludzie wykształceni, jak pisane są książki lepszych autorów, jak uczy nas gramatyka, która jest zbiorem wyciągniętych z żywego języka zasad oraz prawideł — i to się nazywa mówić poprawnie.

O takim, który doszedł do takiej umiejętności wyśłowienia, wyrażamy się z pochwałą, „mówi jak z książki.” Zwykle chodzi to w parze: kto mówi pięknie, ten mówi rozumnie. A kto mówi rozumnie, ten mówi pięknie, bo najczęściej ten, kto tak dobrze przyswoił sobie swą mowę, nie może być głupim, ani też człowiek prawdziwie rozumny nie może źle mówić po polsku, bo najpierwsze usiłowania zwraca do nauki języka macierzystego, a później dopiero bogaci swój rozum innemi naukami; albo też jedno i drugie czyni społecznie.

Język polski jest piękny, starożytny, to jest od wielu wieków istniejący, bogaty, to jest zdolny do wyrażenia wszelkich myśli, do wykładu wszystkich nauk.

Jak często widzieć można ludzi dorosłych, nawet starszych płci obojej, którzy nie umieją dobrze mówić po polsku: brak im potrzebnych wyrazów, jękają się, płaczą a nie mogąc na razie znaleźć odpowiedniego wyrażenia, uciekają się tymczasowo do różnych niepotrzebnych dodatków i śmiesznych przysłówi jak: *ten tego, panie, mości dobrodzieju* i t. p. popełniają przytem rażące błędy w formach wyrazów, w ich odmianach gramatycznych, w budowie, układzie i jasności zdań, o czem wszystkim może jeszcze później pomówimy obszerniej. Szczególniej ciężko im idzie, jak z kamienia, gdy wypadnie opowiedzieć dokładnie i zrozumiale o jakimś wydarzeniu lub powtórzyć porządnie treść przeczytanej książki, powieści lub artykułu, bo to najtrudniej i w tych właśnie wypadkach natychmiast zdradza się nieumiejętne władanie językiem macierzystym.

Niemniej porządne napisanie listu, chociaż to rzecz łatwiejsza, jako dająca więcej czasu do namysłu niż opowiadanie ustne, wymaga jednak znacznej umiejętności we władaniu językiem. Śmieją się też ludzie z takiej mowy i z nieporządnych a niepoprawnych listów, a chociaż wyśmiewać się z bliźnich, a zwłaszcza z osób starszych nie godzi, tym razem przecież jest zasłużone, jeżeli, jak to najczęściej bywa, ową nieumiejętność należy przypisać niedbalstwu i brakowi pilności w czasie nauki. A ileż to młodzieńców i panienek i chłopczyków musi wstydzić się i rumienić, gdy ktoś zażąda od nich opowiadania, lub napisania listu. Czują bowiem, że tego nie potrafią i tu wychodzi na jaw ich nieuctwo. Jak można uniknąć tego wstydu i śmieszności, podam wam niektóre skazówki w dalszych artykułkach.

L. W. Szczerbowicz.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Pomnik Jana Sobieskiego (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — Floryan Zagowski (z portretem) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — O poprawnym mówieniu. — Dodatek: Wróblek, wiersz (z ryc.) — Grzebień i szczotki (z ryc.) — W wigilię Bożego Narodzenia. — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. Dodatek książkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE

Wróbelek.

Już nas wszystkie opuściły
Leśne ptaki i śpiewne,
Co nam latem tak nuciły
Swe piosenki rzewne,
Został tylko szary
Przyjaciół nasz stary,
Wróbelek.

Już dokoła pustka wielka
Wiatr jesienny huczy;
A wesołość milknie wszelka
Gdy nam deszcz dokuczy,
Lecz świergoli szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

I choć przykro, chociaż chłodno
Jednak się nie żali,
Choć mu nawet nieraz głodno,
Zawsze jak ze stali,
Rażno skacze szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

Bo nad obcych nieb lazury
Nad obce dostatki,
Kocha nasze ciemne chmury
Nasze skromne chatki,
Gdzie się rodził szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

Więc pod ciepłą strzechą dajmy
Zawsze mu schronienie,
I gdy głodny pamiętajmy
Sypnąć pożywienie,
Boć to przecie szary
Przyjaciół nasz stary
Wróbelek.

M. D.



GRZEBIENIE I SZCZOTKI.

— Nienawidzę grzebienia! nie znoszę szczotki! —
wołała Stefcia, której splątane włosy, rozczesywała służą-
ca i w uniesieniu gniewu, wyrwała z rąk Marysi piękny,
szyldkretowy grzebień i rzuciła go na ziemię. Biedny
grzebień pękł na dwie połowy.

— Co mama na to powie? — odezwała się Marysia.
Stefcia wystraszyła się na widok wyrządzonej szko-
dy; żal jej było ślicznego grzebienia, większy żal jeszcze,
że mamę zmartwi swym gwałtownym postępkim. Po-
biegła też zaraz do niej, ze łzami w oczach rzuciła jej się
na szyję, przepraszała i przyrzekała, że nigdy już tak nie-
cierpliwą nie będzie.

Mama, widząc szczery żal Stefci, przebaczyła
i rzekła:

— Sądzę, że gdy się dowiesz ile zrobienie tych
przedmiotów kosztują zachodu i pracy, więcej jeszcze
szanować je będziesz.

— Oh! dobrze mam! opowiedz mi, jak wyrabiają
grzebienie i szczotki.

— Oto trzeba ci wiedzieć, że grzebienie oddawna
są już znane, używały już ich kobiety w starożytnej
Grecyi, o której uczyłaś się w historii, a nawet Sparta-
nie, chociaż, jak wiesz, odznaczali się prostotą obyczajów
i surowo przestrzegali wszelkiego zbytku, długie włosy
swoje czesali starannie grzebieniem, nawet w chwili gdy
wybierali się na wojnę.

Pospolite grzebienie wyrabiane były z drzewa, ko-
sztowne z kości słoniowej. Obecnie najpiękniejsze grze-
bienie wyrabiają z szyldkretu, to jest ze skorupy żółwi,
których największe gatunki znajdują się na wybrzeżu
oceanu Indyjskiego. Za kosztowny to jednak materiał,
więc zastępują go ogólnie rogiem zwierzęcym, również
stosownym, jak szyldkret do wyrobu grzebieni, albo
jeszcze tańszą, lecz i gorszą masą drzewną.

— Jakże to robią te grzebienie rogowe? — pytała ciekawie Stefcia.

— Róg, którego najlepsze gatunki pochodzą od bawołów indyjskich lub wołów amerykańskich, krają w kawałki, następnie kładą je do pieca, a gdy zmiękną pod działaniem ciepła, wprawni w tę robotę chłopcy, rozcinają je stosownie do żądanej grubości. Tak przygotowane blaciki rogowe, kładą w prasę, suszą, poczem za pomocą naszynki wycinają zęby, wygładzają i zaokrągłają pilnikiem.

— A szczotki z czego robią? — dowiadywała się Stefcia.

— Wyrabiają je ze szczeciny, z włosia końskiego, lub z korzonków roślinnych; te ostatnie, służą do szorowania podłóg i stołów, robią je także z fiszbinu, sierści borsuków albo wielbłądów. Rozgatunkowywaniem, oddzielaniem czarnej sierści i włosia od białego, trudnią się najczęściej kobiety i dzieci, układają je w małe pęczki, umocowują następnie szpagatem lub drutem mosiężnym na deseczkach odpowiednio do tego zrobionych.

Po osadzeniu szczeciny, równa się ją przystrzygają nożyczkami, a na deseczki nakłada lub przykleja po wierzchu, drzewo pomalowane lub politurowane, kość łoniową, blachy metalowe i t. p. Dawniej piękne grzebienie i ozdobne szczotki sprowadzano z zagranicy, dziś u nas w Warszawie są fabryki tych przedmiotów, nie ustępujące w niczem francuskim, angielskim i niemieckim wyrobom. Widzisz więc Stefcio, ile robota najzwyczajszego nawet grzebienia lub szczotki, zachodu i trudu wymaga, każdy więc owoc pracy ludzkiej należy szanować i nie niszczyć lekkomyślnie.

— Prawda mamol! nie zastanawiałam się nad tem; od tej chwili postaram się każdą rzecz szanować i w porządku utrzymywać, a mamusia zawsze mi opowie w jaki sposób coś zrobione zostało.

P. Gr.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dalszy ciąg)

Chłopczyk siedział sam i nie podzielał ogólnej radości; był dziwnie rozdrażniony, bo zdawało mu się ciągle, że na coś czeka i to na coś przykrego.

Już mrok zapadał, gdy znowu przybiegła Zosia, szepcząc:

— Wiem, co dostaniesz, ale ci nie powiem.

— Co takiego? — zapytał ciekawie chłopczyk.

— Zgadnij — rzekła z tajemniczą miną; — zaczyna się na *f*, a kończy się na *a*. A drugie, nie powiem.

— Skąd wiesz? — zapytał z ożywieniem Henryś, któremu się twarz rozjaśniła. *F, a*, to pewnie fuzyjka, prawdziwa fuzyjka, z której będzie można nawet zająca łabić. Drugie znowu, to może welocyped, albo narzędzia stolarskie, albo jaka ładna gra... a może będzie jeszcze trzecie i czwarte.

Dzieci zaczynają zgadywać co im gwiazdka przyniesie; Henryczek ożywia się, Zosia mówi coraz więcej.

Wtem zadźwięczały dzwonki u sanek, ktoś przyjechał.

Zosia wybiega i zdaleka oznajmia:

— Wiesz kto? Pan Bronicz, poszedł z ojcem do bawialnego pokoju.

Pod Henryczkiem nogi się ugięły. Pan Bronicz! Tego się nie spodziewał. Po co on przyjechał, czy przeczuł, że Henryczek sfalszuje stopnie?

Nie, to niemożliwe; ale znów bardzo możliwym jest, że w rozmowie ojciec wspomni o doskonałej cenzurze syna, że pan Bronicz okaże zdziwienie, że nastąpią wyjaśnienia, że pan Bronicz zobaczy dzienniczek, że potem Henryczka zawołają na dół i że... Chłopczyk zdrzął na myśl o karze, że kara będzie straszną, o tem nie wątpił. Ojciec wszystko raczejby przebaczył niż fałsz. Co to będzie, co to będzie?

Henryczek wyraźnie słyszy, jak ojciec z panem Broniczem przechodzą do jego pokoju, pewno idą po dzienniczek.

Pociemniało mu w oczach, był pewien, że za chwilę rozlegnie się głos:

— Henryku, chodź natychmiast! Możeby się schować. Ale gdzie? pod łóżko, czy do szafy? Znajdą go wszędzie. Rozejrzal się po pokoju, gdy nagle uczył silny przeciąg, pewnie się lufcik otworzył. Idzie do okna i podnosi rękę; wtem cofa się zdumiony. Pod oknem na stoliku siedzi maleńki człowieczek, otulony w płaszcz ze śniegu, z takimże śpiczastym kapturkiem na głowie, obwieszonym zamiast frendzli, maleńkimi sopolkami.

Karzelek trzyma w rękę gałązkę zielonej choiny. Lufcik jest otwarty i widać w nim całą gromadkę podobnych karzelków, niosących kolorowe świeczki, złożone orzechy, pierniki lub błyszczące kule. Ale na widok Henryczka cały pochód zatrzymał się nagle.

Chłopczyk przeciera oczy, sen czy jawa? Nie, nie sen, bo nawet stolik pod oknem pokrył się jakby obrusem, płatkami śniegu, które z płaszczy karzelków opadły.

— Skądżeście się tu wzięli? — zapytał wreszcie?

— My co rok o tej porze przychodzimy i ubieramy choinki — odparł najbliższy stojący.

— A gdzie mieszkacie?

— Daleko, ale zająć można, my tam zaraz wracamy, czybyś miał ochotę pójść z nami?

— O, jak najchętniej! — wykrzyknął chłopczyk, któremu ta myśl wydała się deską ratunku.

— Prosimy, zobaczysz jacy dobrzy z nas towarzysze.

Henryś prędko wdział futerko i ciepłą czapeczkę, wskoczył na krzesło, z krzesła na stół i po drabince, która stała za oknem, wy dostał się na dwór. Ciemno już było, ale wszędzie śnieg biał; na szafirowem niebie migotały gwiazdeczki.

Karzelki otoczyli go i żwawo biedz zaczęli.

Pola były puste, śnieg poprzysypywał zagony i bruzdy, gdy czasami który zapadał po pas albo po kapturki, drudzy go zaraz wyciągali z wesołym śmiechem.

Wkrótce Henryczek zobaczył z różnych stron gromady biegnących karzelków, którzy się z nimi łączyli.

Wreszcie zebrał się cały tłum maleńkich, białych ludzi. Nucąc kołędy, dobiegli do sosnowego lasku.

Henryczek podniósł głowę i wydał okrzyk zachwyty.

Las składał się z choinek nie wysokich, ale gęstych; na każdej choince jaśniały różnokolorowe świeczki, lśniły błyszczące kule, migwały żółte orzechy i pierniki. Chłopczyk zwykle cieszył się cały rok na drzewko wigilijne, a tu tych drzewek był cały las. A jakie piękne zabawki wisiały na gałązkach, jakie laleczki, pajace, koniki, piłki, fuzye, żołnierze, różne zwierzątka, gry, przysmaki, aż oczy bolały patrzeć!

Ale uwagę Henryczka zwróciło nowe dziwo: tu i owdzie, pod cieniem wyższych świerków i modrzewi lub wśród krzaków jałowcowych, stały małe, śliczne pałacyki ze śniegu i lodu. Były to szwajcarskie domki, chińskie pawiloniki, to średniowieczne zamki, które Henryczek widywał na obrazkach, gdyż wieżyczki i strzelnice, opasane murem z lodu i wałem ze śniegu, wznosiły się na ślicznych greckich kolumnach, niby maleńkie świątynie starożytne.

(d. c. n.)

DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dokończenie).

— Pani! — zawołał, pochylając się do jej kolan — wiadomość, dobra wiadomość.

Ona powstała żywo. — Wiadomość?! co?! wiadomość o naszym biednym Janku? o mojem dziecku?! — postąpiła parę kroków, jak gdyby biedz chciała naprzeciw tej dobrej wiadomości, ale z nadmiaru wzruszenia, zachwiała się i o mało nie upadła. Wtem drzwi komnaty rozwarły się na oścież i Janek wpadł pędem, rzucając się matce do nóg.

— Matko! matko moja!

* * *

Tu już pióro moje słabnie i słów znaleźć nie może, na opisanie szczęścia tej chwili powitania! Stary dziadek ożywił się, jakby mu dziesięć lat życia ubyło. Hania głośnymi okrzykami wyrażała swoją radość, a cóż dopiero mówić o matce! Opowiadaniom końca nie było. Po tysięcznych uściskach, po wylanych łzach radości, wypytywano o najmniejsze szczegóły tego czasu rozłąki. Janek opowiadał, lecz tak umiał wszystko przedstawić, aby nie zakrwawiać bardzo serca matki, które chociaż szczęśliwe teraz, przecież bolało jeszcze przebytemi ciężkimi kolejami dziecka swego. Najwięcej rozwodził się Janek nad dobrocią Skalki, nad litością Zulejki, nad szlachetnością Tatarą, który mu ułatwił ucieczkę. Na prośby Janka, dziadek i matka postanowili bezzwłocznie posłać okup za Skalkę.

Tego pierwszego wieczoru zesłała się cała służba: wszyscy dworzanie starosty, napatrzeć się nie mogli swemu ukochanemu paniątku. Matka nie puszczała go od

swego boku na chwilę jedną, dziadek nie odwracał oczu od niego. W całym zamku panowało wesele, obchodzono jakby święto rodzinne. Gdy Janek opowiadał jak Zulejka pocieszała go, jak za jej przyczyną rozkuto go z kajdan, Hani zaszczyły oczy łzami wdzięczności i szepnęła nieśmiało, tuląc się do ramienia swej opiekunki.

— Kocham bardzo tę Zulejkę!

Janek teraz dopiero ocenił prawdziwą wartość domu rodzinnego, prawdziwą wartość jego ciepła, jakim ten dom nas otacza. Dawniej ani pomyślał o tem, jakie to szczęście spotykać się w każdej chwili z życzliwą twarzą, z serdecznym uśmiechem, a choćby tylko zasiąść z tymi, którzy nas kochają, do smacznej i czysto podanej wspólnej wieczerzy, spać na czystem i świeżem pościelaniu, przyjmować drobne usługi życzliwych domowników. Są to wszystkie skarby, których często należycie oceniać nie umiemy, a które ogrzewają nas i rozświecają nam życie bez naszej pracy i zasługi, jak słońce rozgrzewa i oświeca świat cały. Jakież Janek był szczęśliwy, gdy nazajutrz, dawnym zwyczajem, po rannej, gorącej modlitwie, odmówionej przy boku matki, ubrany już w swoje własne suknie, pobiegł do dziadka na śniadanie, jakże ono smakowało obydwom...

Obiegł potem wszystkie kąty zamku, podwórza, stajen, konia swego pieścił i karmił chlebem. Czuł z rozkoszą, że powróciło mu dawne życie! Po paru miesiącach, wydawało mu się wszystko co przeżył snem tylko.

Przy końcu września, tego samego roku, oznajmiono mu, iż jacyś ludzie obcy chcą się z nim widzieć, wybiegł w dziedziniec, a za nim wyszła i matka z Hanią.

Zastali przed drzwiami zamkowemi, rodzinę wieśniaczą, ojca, matkę i dwoje małych dzieci.

Janek z okrzykiem radości rzucił się na szyję wieśniakowi, ale ten zaledwie śmiał mu oddać uścisk, onieśmielony otoczeniem Janka i tem, że sam chłopiec ubrany inaczej, tak niepodobnym był do owego nieszczęśliwego chłopięcia-niewolnika, którego znał niegdyś.

— Matko — zawołał Janek — oto mój opiekun w ciężkich dniach mojej niewoli, to pocziwy Skalka! on mnie pocieszał, on krzepił, on przyjmował razy bata tureckiego, wymierzone na mnie!

— O panie, o czem to mówić — przerwał Skalka — wy to mnie wykupiliście z niewoli, powrócili tym biednym ptaszętom, które byłyby może i zmarniały bezemnie! Wy jesteście naszym wybawcą!

Radosna to była chwila dla Janka — i do końca życia nie wyszła mu z pamięci.

A zdaleka błyszczała jak srebrna wstęga, rzeka, zakuta w pęta lodowe i gładka jak tafla szklana.

ZAGADKA.

Ułożył Puszczyk z P. dla L.

Literą w alfabecie *pierwsze* jest i będzie,
A *drugie* w wykrzykników znajduje się rzędzie.
Staw *pierwsze* wspan, dodaj naprzód *drugie*
Zobaczysz u stolarza, grube, krótkie, długie,
Kraje dawniej słowiańskie *wszystko* zrasza w biegu,
Albowiem do rzek większych liczy się szereg.

ZAGADKA LICZBOWA.

p. Słonia z Nubii.

W 16 przedziałkach rozłożyć 200 rubli tak, ażeby nie powtarzając liczb 5, 10, 15, 20 w jednym rzędzie, wypadła we wszystkich kierunkach liczba jednakowa.

NITECZKA ARYADNY.

Ułożyła Niezabudka.

1	2	3	4	5	6	7	8
wa	ścią	u	każ	lun	pio		
aż	bo	le	kry	w	się	dej	czy
e	bo	leść	pie	nia	wa	dy	kro
sz	go	cier	jest	wle	szezę	pli	sło
ez		roz	gie	dru	w	ście	ja
ā	ko	dru	ta	się	dno	je	kieś
szą	giem	spla	z	je	dno	ścią	tre

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47.

Zagadki: Żabie oczko.

Łamigłówki sylabowej:

1) Kazuar. 2) Nicea. 3) Yarkand. 4) Skorpion. 5) Zielony. 6) Yavari. 7) Nikaragua.

K n y s z y n .

Łamigłówki kryształowej

W
G i l
S a n o k
D r a c e n a
K r ó l e w i e c
W i n c e n t y P o l
K o n s t a n t y
B a z y l e a
T a p i r
D o n
l

Skrzynka do listów.

Jeżeli Jadzia G. nie znalazła dotychczas swych łańcuchów w „Wieczorach” oznacza to, że się nie nadawały do druku, co wszakże nie powinno ją zrażać do układania nowych, bo jak we wszystkim i tutaj wprawa najwięcej znaczy. Rozwiązanie zagadek dobre. Wierszykowi brak rytmu, t. j. równomierności głosek, które są tem w wierszowaniu, ażeby takt w muzyce.

Ucieszyła nas szczerze obietnica Stefcia B., że przyszła jej robótka konkursowa będzie jeszcze lepszą od tej, która w tym roku zasłużyła już na nagrodę. Nie powinniśmy bowiem nigdy w zdobyciu jakiegokolwiek umiejętności zadawać się posiadaną miernością, lecz dążyć wytrwale do wydoskonalenia się.

Za brakujący numer dodatku Marynia J. nic winna nie jest. Radość, jaką jej sprawia nagroda przyjemną nam jest wielce. Czy zrzęcznie narysowany monogramik na liście jest jej własną robotą?

Ażeby umieć pisać dobrze trzeba dłuższej wprawy, nie wątpimy też, że każdy następny twój liścik Jańciu P. będzie coraz ładniej napisany, tak abyś mogła w roku przyszłym odebrać nagrodę na konkursie kaligrafii, a niezawodnie będzie ci ona równie miłą jak obecna za uszycie koszulki.

Załużymy bardzo, że nie możemy zadowolnić życzenia Puszczyka z Pilawy, lecz adresu Słonia z Nubii nie znamy. Przystąpią łańcuchówkę i zagadkę przejrzymy.

Własnego układu łańcuchówki przysłali również: Ulan, Jutrzenka K., Czarny rycerz, Marylka, Tadzio W. i Giermek, dobre zaś rozwiązania E. F., Stefcia K., Smok, Orzeł, Anulka, Tenia W. i Stefcia K.

Wielką zrobiłaś mi przyjemność swym liścikiem Iskierko z Kijowa i cieszę się bardzo, że lubisz nasze „Wieczory.” Zmiana pseudonimu nic nie kosztuje, myślę więc, że zadowolona będziesz gdy nadesłane 20 kop. Redakcja przeznaczy dla ubogich sierot. Może znów kiedy napiszesz do mnie, tymczasem zasyłam tobie i twym braciśkom pozdrowienia.

Jakże długo kazałaś mi czekać na swój list Sarenko mądronka! Już myślałam, żeś o mnie całkiem zapomniiała, gdy z przyjemnością dowiaduję się, że to nauka i czytanie tak bardzo czas ci zajmują. Wesołe twe usposobienie jest cennym przymiotem, który ci zapewne niejedną umiła chwilę. Życząc ci z całego serca spełnienia pragnień w zdobyciu na przyszłym konkursie pierwszej nagrody, pozdrawiam szczerze. Rozwiązania dobre, rebusik złożyłam w Redakcyi.

Skoro masz tyle swobodnego czasu Polna Różo to proszę pisz do mnie jaknajczęściej, bo nie tylko ty sama w tej zamianie myśli znajdujesz zadowolenie, równie miłą jest ona i dla mnie.

Witam cię Rumiane Jabłuszko w gronie mych korespondentów, i spodziewam się, że znów niezadługo upatrzysz wolną chwilę do pogawędki ze mną. Siostrzyczkę i braciśzków twych pozdrawiam, życząc im, również jak tobie, powodzenia w naukach.

Najodpowiedniejszą dla twego wieku Zajęczku z Ukrainy, będzie zapewne historia powszechna Henryka Wernica w 3 tomach zajmująco i przystępnie opowiedziana, która jest do nabycia w najlepszych księgarniach w cenie 1 rub za każdy tom. Używana też jest his. pow: Zdanowicza w jednym tomie, cena rub. i kop. bez przesyłki pocztowej. Rozwiązanie dobre. Arytmograf złożyłam w redakcyi.

Czy zapomniiałaś już o mnie miła Stokrotko, że nie przesłałaś mi od tak dawna ani słówka wiadomości o sobie, a przecie jesteś zapisaną w liście stałych naszych korespondentek, z którymi zamiana myśli jest mi zawsze pożądaną i miłą.

Cieszę się bardzo, kochana Kurko z Polesia obietnicą odwiedzenia naszej Redakcyi, gdyż może szczęśliwym wypadkiem i ja tam wówczas będę to się osobiście poznamy; tymczasem pisz jaknajczęściej do przyjaznej ci

Jaskółki.